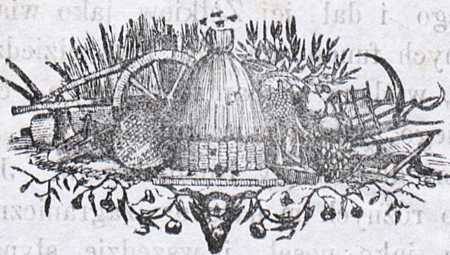
Tom XVII. Nr. 9.

21. września 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Poświęcenie kościoła farnego w Żółkwi.

W całym kraju mówią teraz o Żółkwi. Przed kilkoma dniami odbyła się tam uroczystość poświęcenia kościoła farnego. Prócz księdza Arcybiskupa ze Lwowa i inni biskupi nasi zjechali na tę uroczystość, państwa z rozmaitych stron przybyło bardzo wiele, ludu wiejskiego kilka tysięcy, a miasta poprzysełały deputacje. Godna zaiste, abyście się wszyscy cokolwiek o Żółkwi i o tym zjeździe dowiedzieli.

Miasteczko Żółkiew leży w prześlicznej i żyznej okolicy, półczwartej mili od Lwowa. Założył to miasto jeden z największych hetmanów i wojowników polskich, Stanisław Żółkiewski, co zaczął służyć od prostego żołnierza a walecznością i męztwem dobił się najwyższych stopni; całe życie przepędził na wojnach i zginął za ojczyznę, a tak kochał chłopków, że raz czterdziestu, co się w jednej bitwie odznaczyli, szlachcicami porobił i nadał im swoje nazwisko, a odtąd wszyscy ci nazywali się Żółkiewskimi, jakby byli rodzonymi synami onego wielkiego

hetmana. Stanisław Żółkiewski miał córkę Zofią, bardzo bogobojną i miłosierną panią, którą wydał za Jana Daniłowicza wojewodę ruskiego i dał jej Żółkiew jako wiano, a ona tu szpital dla biednych fundowała. Po niej odziedziczyła Żółkiew jej córka Teofila, wydana za bardzo mądrego i cnotliwego pana, Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego i zbudowała tu kościół i klasztor dla księży Dominikanów. Jej mąż, Jakób, jeździł często do różnych monarchów zagranicznych, wysełany od swego króla jako poseł, i wszędzie słynął z wielkiego rozumu. Fundował także kilka kościołów i klasztorów, a to o nim jeszcze na jego pochwałę powiadają, że gdy synów wysyłał dla nauki za granicę, to im tak rzekł: „Poznawajcie cudze obyczaje i uczcie się wszystkiego co wam się w ojczyźnie przydać może, oprócz tańca, gdyż tego nauczycie się w Polsce, w harcach z Tatarami“; starzy Polacy bowiem bitwy z Tatarami nazywali tańcem.

Był on ojcem króla polskiego Jana III. Sobieskiego, który zasłużył sobie na imię zbawcy Europy i Chrześcijaństwa. Jako wódz wydźwignął Polskę z grożącego jej od Turków niebezpieczeństwa, a gdy Turcy potem poszli na Austrję i Wiedeń oblegli, król Jan III. zebrał wojsko polskie, poszedł pod Wiedeń i tam ich pobił i odpędził, a Wiedeń uratował, co tak jemu jak i imieniowi Polskiemu wielką sławę na wieki zjednało.

Król Jan III. bardzo lubił Żółkiew, którą po rodzicach odziedziczył i często tu z żoną i całym dworem przebywał. Miał tu wspaniały Zamek, który dziś rozsypuje się w gruzy. Za zamkiem był zwierzyniec i okazały ogród królewski. Na wzgórzu nad zwierzyńcem leżały winnice, a opodal jest góra, z której śliczny jakby w raju przedstawia się widok, toż Sobieski wyszedłszy raz na tę górę, zawołał: „Ha! raj!“ i odtąd nazwano to miejsce harajem i zbudowano tam pałacyk.

Król Jan był także wielkim dobroczyńcą dla ubogich i kościołów. Kościół farny w Żółkwi, przez Stanisława Żółkiewskiego zbudowany, przebudował, i ozdobił obrazami i pomnikami, które się do dnia dzisiejszego przechowały w całości,

a nawet żydom dopomógł, że sobie tu bardzo piękną bożnicę zbudowali.

Po śmierci króla mieszkali w Żółkwi synowie jego, królewicze Jakób i Konstanty, tu pomarli i w kościele farnym pochowani zoztali. Potem odziedziczyła Żółkiew, krewna króla, Katarzyna księżna Radziwiłłowa, niewiasta rzadkiej cnoty, która nieraz mawiała: „Dobra Francja, chwalebna Hiszpania, wesołe Włochy, bogate Niemcy, ale mi najmilsza Polska.“ Po upadku kraju dobra księcia Radziwiłła a z niemi i Żółkiew sprzedano. Od tego czasu Żółkiew coraz bardziej upadała, zamek opustoszały zaczął rozsypywać się w gruzy, winnica chwastem zarosła. Kościół farny także bardzo podupadł, aż w naszych czasach, dopiero przed kilkoma laty, wzięto się do jego odnowienia.

Zacny proboszcz tego kościoła, ksiądz infułat Nowakowski, zabrał się do dzieła z szlachetną gorliwością, wytrwałością i ufnością w Bogu, za co mu też Bóg pobłogosławił, i kościół stanął przed nami taki świeży, taki piękny, jakim był niegdyś za Zółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich. A nie tylko kościół cały z gruntu odnowiono, ale także wszystkie, co tu były od wieków, pomniki i obrazy, że wyglądają jakby dopiero co wyszły z pod dłuta albo penzla. Są tu zaś pomniki Stanisława Żółkiewskiego, jego syna Jana, jego żony i córki, Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana i jego szwagra Daniłowicza, który umarł w niewoli tatarskiej. Prócz tego są tu ogromne obrazy, przedstawiające rozmaite bitwy Stanisława Żółkiewskiego i króla Jana. Między niemi jeden przedstawia bitwę pod Kłuszynem, po której Żółkiewski czterdziestu chłopów szlachcicami uczynił, a drugi zwycięztwo króla Sobieskiego nad Turkami pod Wiedniem. W grobowcach fary spoczywają Stanisław i Jan Żołkiewscy, Jakób Sobieski, królewicze Konstanty i Jakób i wiele innych osób.

Gdy już to wszystko odnowiono i odświeżono trzeba było kościół poświęcić. Odbyło się to poświęcenie dnia 12. Września jako w rocznicę bitwy pod Wiedniem. Na tę uroczystość zjechali do Żółkwi, księża arcybiskupi lwowscy, łaciński czyli polski i ormiański, biskupi przemyski i tarnowski, tudzież naj-

wyżsi urzędnicy ze Lwowa, posłowie sejmowi i deputacje od wielu miast a ludu było jak mrówia, bo zewsząd ciągnęli pobożni z chorągwiami jakby na odpust. Ponieważ się wszyscy nie mogli zmieścić w kościele, odbywało się jednocześnie nabożeństwo i w kościele i pod namiotem. Poświęcał kościół ksiądz arcybiskup lwowski łaciński, nabożeństwo skończyło się prawie o czwartej godzinie po południu, poczem się ludzie zwolna rozchodzić zaczęli, dziękując Bogu że im pozwolił doczekać tej radosnej chwili, w której pobożne dzieła bohaterów polskich na nowo takim blaskiem i chwałą zajaśniały a przezco i pamięć tych świątobliwych a tak zasłużonych mężów i niewiast, odżyła na nowo. — *r* —

Nasza wioska.

Piękna nasza wioska, rozkoszna choć cicha,
Dostatek ma chleba, swobodą oddycha,
W koło ciemne lasy, dalej sine góry,
A na jasnem niebie blade ciągną chmury.

Pomiędzy parowy ciągnie się dolina,
Chatami zasiana, rozkoszna jedyna,
Pośród chat się wiją jak wstążki drożyny,
A dolinę wieńczą brzozy i kaliny.

Bujnie rośnie trawa na zielonej łące,
Tam bydełko skubie kwiatki woniejące,
Tam brzęczy wesoło, pracowita pszczółka,
Krząta się ochoczo, zbiera miodek z ziółka,

Na boku olszynka a za nią na prawo,
Pośród wierzb cienistych zdrój bieży murawą,
Na lewo zamczysko, tam orzeł na skale,
Ostrzy sobie szpony, trzepie się zuchwale,

Mija dzionek, mija, srebrny blask księżyca,
Wiosce naszej ślicznej uroczo przyświeca,
A wieża kościółka pośród nocnych cieni,
Tym blaskiem oblana, purpurą się mieni.

W gaju nuci słowik w gęstym skryty cieniu,
Tu i ja pod dębem siedzę na kamieniu,
I słucham, jak ptaszki wesoło pieśń nucą,
Jak czasem igrają a czasem się kłucą

A czasem się kłucą, czasem się i czubią,
Lecz gdy strach na karku, to się znowu lubią,
I wszystkie się społem ratują jak mogą,
Złapanemu w potrzask wyrwać się pomogą.

O jakże to pięknie leśni żyją ptacy!
W naszej wiosce ludzie nie tacy! nie tacy!
U nas niema zgody, swary, kłótnie wiecznie,
A wróg na nas potrzask nastawia bezpiecznie.

Prawda, są poczciwi, radzi biedakowi,
Resztką z nim się dzielą, grosz mu niosą wdowi,
Ale są i tacy, ach! a takich krocie,
Co wydrą ostatek wdowie i sierocie.

Piękna nasza wioska, rozkoszna choć cicha,
Ale nasza cnota jeszcze bardzo licha,
Ach! zlituj się panie, zagrzej serca cnotą,
Bo cnota nad wszystko, nad srebro, nad złoto.

Próżniak poprawiony.

Było to przed samym południem, w dniu gorącym, sierpniowym. W ubogiej chacie młoda kobiecina krzątała się koło chorego dziecka, płakała i wybiegała co chwila na próg chaty, jakby kogoś upatrywała.

Zbliżało się ku chacie dwóch wieśniaków w brudnej, podartej odzieży, wyżółkłych na twarzy, trochę podpitych. Jeden zatrzymał się przed chatą, drugi pobiegł naprzód.

— Mateuszu, Mateuszu, wołał pierwszy, a nie bawcie się tam długo.

— Bądźcie cierpliwi Józefie, odpowie Mateusz, może zaraz powrócę.

— Jak to może? Ot, nie dajcie się babie bałamucić, bo i czego tam będziecie siedzieć, skoro nic nie poradzicie.

— Zaraz, zaraz.

— Oho! nie tak prędko, zawoła kobieta stojąca na progu. Dziecko chore, warto w domu posiedzieć skoro roboty nie ma, a widzę że nie ma, kiedy wy już razem. O! ciężka moja dola! ale poczekajcie..., rozdzielę ja was.

I dalejże oglądać się za kijem, czy może za miotłą. Ale Józef nie czekał na takie nieprzyjemne przywitanie, jeno się w głowę poskrobał i zawrócił tam zkąd przyszedł, a oboje małżonkowie weszli do izby.

— No i cóż? zapytała męża Mateuszowa, stając przed nim z załamanemi rękoma; cóżeś sprawił?

— A cóż miałem sprawić? Nic! Stryj jakiś chory, pojechał do Szczucina krew puszczać, ani gadać do mnie nie chciał, jeno mnie ofuknął że znowu do niego przychodzę pożyczać, a nigdy nie oddaję. Po mojej śmierci, rzekł, wszystko odziedziczycie, bo ja na tamten świat nic nie zabiorę, ale póki żyję, to mnie nie rabujcie. Idę do dworu, proszę pana, a pan krzyczy: ty próżniaku, ty leniwcze, tylkobyś żebrał, a zarobić ci się nie chce, dość już tego, ruszaj sobie precz!

— Dobrze ci tak! to zapłata próżniaka, powie Mateuszowa, ocierając łzy fartuchem.

— Poszedłem do sąsiadów, do Jana, do Piotra, do Bartłomieja, proszę, zaklinam, zmiłujcie się..., gdzietam! to serca z kamienia. Jeden tylko Józef co mi dobrze życzy, co by mię chętnie wsparł, gdyby tylko mógł, ale ty do niego coś cierpisz nie wiedzieć za co...

— Józef ci dobrze życzy? oj Boże, Boże! lepiej nam było, kiedyś ty nie przestawał z Józefem...., przypomnij sobie.

— Józef nic nie winien. Lepiej nam było, bo my się lepiej mieli; człowiek zjadł dobrze, były siły do pracy, a teraz co?

— To zarabiaj, nie włócz się po całych dniach, a będziesz miał co jeść, ja na troje nie zarobię, tem bardziej teraz, kiedy to biedactwo takie chore.

Umilkli oboje, Mateuszowa popatrzyła na dziecko, poprawiła mu poduszeczkę pod główką i zaczęła się zbierać.

— Gdzież ty idziesz? zapytał ją mąż.

— Do księdza pójdę, do nóg mu upadnę i błagać będę o zmiłowanie; może się ulituje nad biednem chorem dzieckiem.

Mateusz usiadł na łóżku, wziął do ręki gałązkę zieloną i z much dziecko oganiał, żona wyszła.

Chory Janek wyciągnął rączęta do ojca.

— Tatusiu, ratujcie, głowa mi pęknie.

— Cicho dziecko, cicho, przyjdzie matka, przyniesie ci lekarstwo na głowę.

— Tatusiu, ja nie doczekam, ja umrę.

Mateuszowi żal ścisnął serce ojcowskie.

— Boże, Boże! zmiłuj się nademną!

— Tatusiu, dajcie mi się napić jakiego kwasu, wołało znowu dziecko.

— Nie ma ani kropli..., matka przyniesie.

— Choć wody!

Napiło się i ucichło na chwilę, a potem znowu.

— Tatusiu..., wiecie co?

— Cóż dziecko moje?

— Ja umrę....

— Nie umrzesz, nie umrzesz mój Janku jedyny.

— Oj! umrę tatusiu..., mnie się nawet śniło żem już umarł i żeście mi kupili śliczną trumienkę, malowaną, a matusia przynieśli kwiatków i zrobili mi wianuszek na głowę. Wszystko było takie śliczne i trumienka i wianuszek i koszułka na mnie biała...

Mateuszowi łzy pociekły po twarzy.

— Wszystko w ręku boskiem, pomyślał sobie; ale jakby to biedactwo broń Boże zmarło, to by i trumny nie było za co kupić. Przeklęte próżnowanie! do jakiejże to biedy mię doprowadziło!

Upadł na kolana, wyciągnął ręce do wiszącego na ścianie Zbawiciela ukrzyżowanego i zawołał w głos:

— Boże, zmiłuj się nademną! daj niechaj to dziecko wyzdrowieje a ja ci ślubuję, że jeżeli mi tę łaskę wyświadczysz, to życie odmienię, nie będę już próżniakiem ale do ostatniego tchu życia chwili jednej nie stracę, jeno pracować będę ile sił starczy, tak mi Najświętsza Panienko i wszyscy Święci dopomóżcie.

Dziecko zasnęło. Mateusz dech w piersi zapierał, aby go nie zbudzić. Po chwili wróciła żona od księdza z lekarstwem. Przyniosła też pożyczonych od Dobrodzieja kilka groszy, nieco mąki i kaszy. Rozpaliła i wzięła się do gotowania. Dziecko spało. Mateusz posiliwszy się poszedł do dworu od południa na zarobek, nic żonie nie mówiąc jaki sobie ślub uczynił.

Mateuszowa siedzi i płacze nad dzieckiem, a wtem zbudził się Janek i jakoś mu lepiej. Wieczorem wrócił Mateusz i w duchu ponowił chwalebny swój ślub. Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz skoro świt on znowu poszedł na zarobek. Żona pojąć nie może co mu się stało, nie posiada się z radości i składa Panu dzięki za to prawie cudowne przemienienie, krząta się koło dziecka, a ono się uśmiecha, rączęta wyciąga do matki i obejmuje ją za szyję.

Wtem nagle powraca Mateusz, a jakiś dziwnie zmieniony, aż się żona przelękła.

— Co się stało! zapytała go żywo; przeczuwając jakieś nieszczęście.

— Oj co się stało? ty się tego pewnie nie spodziewała; stryj umarł.

— Co ty gadasz? czy cię rozum odstąpił? przecie wczoraj jeździł do Szczucina.

— To też ze Szczucina wrócił bardzo chory, podobno mu żyd za dużo krwi upuścił. Gdym szedł na robotę, zajrzałem tam przez okno, a dziewka kiwa na mnie abym wszedł co tchu. Wchodzę, stryj mię już nie poznał. Kazałem chłopakowi czem-

prędzej konie założyć i jechać po księdza, aliści on skonał.

— Jezus, Maria, Józefie święty, ani się opamiętać nie mogę.

— Ratujże się tu jak możesz, bo ja muszę iść do nieboszczyka i zająć się nie jednem.

Wychodząc, popieścił dziecko i żonie nie żałował dobrego słowa.

W trzy dni potem Mateusz był już jednym z najbogatszych w całej wsi włościan, bo po stryju jako najbliższy i jedyny krewny, odziedziczył cały majątek.

A co teraz będzie ze ślubem? Póki Mateusz był ubogi, może by go dotrzymał, ale teraz? A co się stanie z dzieckiem, jeżeli ślub nie zostanie dotrzymany?

* * *

Było to dodnia. Człowiek jakiś brudny i obdarty szedł ku chacie porządnej, biało wybielonej, ale jakby się tam nie śmiał przybliżyć, stanął na boku i czekał, a ujrzawszy idącą do stajni dziewkę, zapytał ją;

— A gdzie gospodarz?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— W izbie, zbiera się na robotę.

W tejże chwili wypadła Mateuszowa z miotłą w ręku.

— Znowu go chcecie kusić? Dobrze żem trochę odetchnęła. Ale nic z tego ja wam tu zaraz sprawię gorącą łaźnię, kiedyście już zabaczyli co ja to umiem.

I dalejże ku niemu. Ale Józef, bo to był on, nie czekał aż guza od baby oberwie, któregoby oddać nie mógł, bo to wstyd wielki bić się z babami, i dał co tchu drapaka.

Gdy się to działo przed chatą, Mateusz w izbie już całkiem gotowy, z kobiałką na plecach i siekierą w ręku zabierał się do wyjścia. Przez okno widział Józefa i pomyślał sobie:

— Dawny znajomy..., dawny towarzysz w biedzie..., może potrzebuje jakiej pomocy? Nie, nie..., chciał tylko pogadać ze mną, dziwi się że się z nim nie schodzę, że pracuję teraz tak pilnie choć tego nie potrzebuję... nie wie o niczem.

Markotno mu było że żona odpędza Józefa, ale jednak nie rzekł jej za to ani słowa i nawet nie wyszedł za próg, aż ujrzał że Józef już daleko, że się z nim nie spotka, bo jeszcze sobie nie dowierzał, czy się nie da skusić, a ślubu chciał dotrzymać koniecznie.

* * *

Rok minął, Mateusz wracał z jarmarku, obok niego siedział na wozie siedmioletni Janek, czerstwy i rumiany jak pączek. Spotkali idącego drogą człowieka w lichej odzieży, poznał go Mateusz i zagadnął.

— Przysiądźcie się Józefie, powiozę was do wsi.

— Nie potrzebuję waszej łaski, odrzekł tamten. Jedźcie sobie, ja z panami nie przestaję.

— Ja nie pan, odezwie się Mateusz, i to nie łaska żadna; już was proszę, przysiądźcie się koniecznie.

Mateusz stanął, Józef wskoczył na wóz, jechali razem. Mateusz był w dziwnie wesołem usposobieniu, co mu się dawniej bardzo rzadko zdarzało, Józef zaś siedział zadumany i milczał. W końcu rzekł Józef do Mateusza:

— Dawno my się nie widzieli, dużo się zmieniło od tego czasu.

— Ha! zmieniło się! odpowie Mateusz; i jam się zmienił, ha! ha! ha! wy mię nie poznajecie Józefie.

— Ale coś wy Mateuszu dzisiaj bardzo rozmowni, powie Józef.

— Niech was to nie dziwi, odrzecze Mateusz; dziś dla mnie wielka rocznica, rocznica jakem nad konającem dzieckiem ślubował panu Bogu życie odmienić i pracować. Dziecko wyzdrowiało, pan Bóg mi dał dobre mienie. Były pokusy niesłychane, alem przecie wszystkie zwyciężył i ślubu nie zła-

małem. Wiem że w tem wszystkiem większa łaska pana Boga jak moja zasługa, ale i to mię cieszy, żem tej łaski nie zmarnował.

Józef milczał, Mateusz rzecze znów do niego:

— Mój Józefie, pójdźcie i wy za moim przykładem, weźcie się do pracy a i wam Bóg dopomoże.

— Co mi tam za niewola pracować, odpowie tamten.

— Tak mówicie, boście jeszcze nie zaznali tego szczęścia, jakie daje praca.

Przed karczmą Józef podziękowawszy wysiadł, a Mateusz pojechał w swoją stronę. Ujechawszy parę kroków obejrzał się za siebie i ujrzał że Józef nie wstąpił do karczmy, lecz wolno, z głową zwieszoną poszedł prosto ku swojej chacie. Tak go to zadziwiło, że stanął i patrzył ciągle za dawnym towarzyszem.

Józef idąc ku domowi zatrzymał się przed figurą na drodze stojącą, zdiął kapelusz, ukląkł i modlił się. Mateusz skoro to ujrzał, zatarł ręce z radości, wzniósł oczy ku niebu i westchnął:

— Panie Boże, tyleś mi dobrego wyświadczył, uczyńże mi jeszcze tę łaskę, abym tego biedaka ujrzał nawróconym. Matko najświętsza, zmiłuj się nad nim!

Stanisław Krakowczyk.

Piękny przykład,

o poczciwej gospodyni z Makowisk.

W Makowiskach umarła gospodyni i zostawiła dziecko półroczne, co jeszcze było przy piersi. Nie miał się kto zająć biedną sierotką, bo ojciec był ubogi i nie miał tyle, żeby dziecko dać na wychówek. Chrzestni ojcowie maleńkiej Zosi dość byli zamożni i mogli byli pomyśleć o jej losie, ale jakoś nie mieli do tego ochoty. Ojciec się tem martwił bardzo, nie wiedział co począć z dzieckiem, aż oto przychodzi sąsiada, matka kilkorga dzieci, która też miała dzieweczkę w tym samym wieku

co Zosia, i prosi żeby jej dać dziecko na wychowanie, a wymawia sobie z góry, że nie chce za to żadnej zapłaty.

Ojciec Zosin znał sąsiadę, że była bardzo poczciwą kobietą, toż ucieszył się jakby mu pan Bóg anioła zesłał na ratunek i chętnie powierzył jej swoją jedynaczkę.

Maleńkiej Zosi było jak w raju, już i u rodzonej matki nie mogło jej być lepiej. Przybrana matka karmiła ją i niańczyła jakby własne dziecko, a taka była poczciwa, że gdy jej ojciec Zosin przyniósł czasem zato jaki mały podarunek, to przyjąć nie chciała.

Zosia chowała się zdrowo, wyglądała czerstwo, rumiano jak jabłuszko.

We trzy lata potem ojciec Zosin ożenił się i napomknął sąsiadce że teraz Zosię odbierze, aby ją macocha wychowywała. Ale sąsiadka ani sobie tego mówić nie dała, i prosiła aby jej Zosię jeszcze przez parę lat zostawić, póki trochę nie podrośnie. Macocha zaś wcale nie miała ochoty zajmować się Zosią i bardzo była z tego kontenta, że jej sąsiada oddać nie chce. Zmiarkował to ojciec i więcej nie nalegał. Zosia więc chowała się ciągle u swojej przybranej matki.

Znowu minęło lat kilka, Zosia trochę podrosła i chodziła do szkółki, a macosze tymczasem dał pan Bóg dwoje dziatek. Gdy jej się drugie dziecko urodziło, ni ztąd ni z owąd naparła się koniecznie, żeby jej Zosię oddać. Przybrana matka znowu się wypraszała, ale jak macocha zaczęła Zosi złote góry obiecywać, jak zaczęła mężowi przygadywać, że to brzydko, aby się jego dziecko w cudzym domu chowało, musiała ustąpić i oddać swoją wychowankę, choć ją to nie mało kosztowało, bo w sercu tej poczciwej kobiety nie było żadnej różnicy między jej własnemi dziećmi a przybraną sierotką.

Zosia nie miała ochoty iść do ojcowskiej chaty i wnet poznała różnicę, bo przybrana matka kochała ja, pieściła, dogadzała w czem mogła, a macocha napędziła ją zaraz do ciężkiej pracy, do jakiej dziewczę nie nawykło.

O chodzeniu do szkółki już ani gadania nie było. Zosia była zawsze posłuszna, robiła ile jej sił starczyło, ale to wszy-

stko nadaremnie, bo im więcej i lepiej robiła, tem więcej macocha na nią nakładała. Dziewczyna płakała, żaliła się przed ojcem i przed poczciwą sąsiadą co ją wychowała, nic to jednak nie pomagało, owszem coraz gorzej jej było.

Tak minęło gorzkich parę lat. Pan Bóg ulitował się nad Zosią i natchnął jednego dość zamożnego, a co ważniejsza pracowitego, trzeźwego, a rodzicom swoim posłusznego parobka, że zapragnął wziąść ją sobie za żonę i do tego przedsięwzięcia uzyskał błogosławieństwo od swoich rodziców.

Macocha na żaden sposób nie chciała Zosi pozwolić za mąż, ale to tylko dla tego, bo jej żal było stracić dobrą robotnicę co ją nic nie kosztowała. Ojciec jednak widział że ów parobek będzie dla Zosi dobrym mężem, że lepszego ani bogatszego nie dostanie i obiecał mu ją święcie. Widząc macocha że nie może postawić na swojem, odgrażała się że choćby miała zginąć, nie da jej wynieść z chaty ani jednego strzępka, ani wesela jej żadnego nie sprawi.

Żeby kłótni w domu nie było, ojciec tylko pokryjomu pokupił Zosi co najpotrzebniejsze do gospodarstwa, a resztę dołożyła ze swego owa poczciwa sąsiada, co ją wychowała. Zapożyczyła się biedaczka, aby Zośki nie puścić z gołemi rękami, nakupiła płótna, uszyła jej co mogła, a potem jeszcze nawarzyła mięsiwa i napiekła różnych kołaczów na Zosine wesele.

Kochani ludkowie, weźcie sobie za przykład tę poczciwą kobietę i naśladujcie ją w cnocie.

Ksiądz Jan z Makowisk.

Kretów nie trzeba wytępiać.

Niektórzy ludzie myślą że krety obgryzają korzonki roślin, że zjadają marchew i pietruszkę w ziemi. Jeden uczony co się chciał przekonać czem się krety żywią, kazał złapać kilka, zamknął ich do skrzyni i wrzucał im rozmaite jadło. Owóż przekonał się że krety lubią muchy, motyle, wszelkie robaki, glisty, ślimaki, zdechlinę, ale nie jedzą ani marchwi ani pietru-

szki, ani też korzonków roślin. Krety czynią wprawdzie czasem wielkie szkody w polach i ogrodach przez to, że kopią sobie nory podziemne, w której mieszkają i wylęgają się, ale nie trzeba ich posądzać, że obgryzają korzenie roślin, bo to wcale nieprawda.

W jednej wsi w Niemczech było bardzo dużo kretów. Dwanaście lat temu, jak się wszyscy ludzie z tej wsi do tych kretów zabrali, jak ich zaczęli łowić i zabijać, tak wszystkich wyłowili i wytępili. W całej wsi nie było jednego kreta, choćby na lekarstwo.

Cieszyli się ludzie że Bóg wie co na tem zyskają, ale gdzie tam! Nie wiedzieć dla czego najpiękniejsze łąki zniszczały tak, że tam gdzie dawniej najbujniejsza rosła trawa, teraz i zdziebełka nie było.

— A to co takiego? myśleli sobie ludzie. Kretów my wytępili, cóż to znowu za licho niszczy nam łąki?

Jak zaczęli szukać nieprzyjaciela, tak go wnet znaleźli: otóż doszli, że to pędraki obgryzają korzenie i dla tego trawa usycha.

Pędraki są to młode chrabąszcze, czyli chrząszcze. W postaci gąsienic siedzą głęboko w ziemi przez kilka lat, zanim im skrzydła urosną. Są one białe, z rudemi łedkami, żywią się tylko korzonkami roślin, i dlatego wyrządzają wielką szkodę, jeszcze większą jak krety, jest ich zaś wszędzie bardzo wiele, bo jedna samica chrząszcza znosi trzydzieści i więcej jajek, z których się potem te pędraki wylęgają.

Gdy wieśniacy zaczęli się namyślać co począć z temi pędrakami, jak się od nich uwolnić, jeden mądrzejszy odezwał się z dobrą radą:

— A nuż spróbujmy nie zabijać kretów! Były dawniej krety, nie było pędraków, pozwólmy się znowu kretom rozmnożyć, może nas od pędraków wyratują

Usłuchali gospodarze dobrej rady i dali pokój kretom, owszem ochraniali ich pilnie, a gdy się znowu w kilku latach rozmnożyły, pędraki znikły a łąki i pastwiska zazieleniły się na nowo.

Ztąd dla nas nauka, że kretów nietrzeba wytępiać, bo pędraki są od nich daleko szkodliwsze.

Tych pędraków nie tylko krety wytępiają, ale także ptaki rozmaite a osobliwie szpaki. Czatują na nich pilnie i jak tylko pędrak z ziemi ma wychodzić, szpak go wyciąga i zadziubuje. Wrony także zlatują się na pola świeżo zorane i szukają pędraków, które są dla nich bardzo smacznym kąskiem.

RÓŻNOŚCI.

(Rozległość i ludność Galicji.) Jak też długa, jak szeroka jest ta nasza Galicja? ile w niej ludzi mieszka? nie jednemu przyda się wiedzieć. Owóż Galicja ma długości ośmdziesiąt mil, licząc od miasta Białej aż do rzeki Zbrucz i miasta Żwańca nad nią leżącego; szerokość nie jest wszędzie jednakowa, największa zaś, od Barwinku w karpatach do Bindiuchy nad Bugiem, wynosi mil czterdzieści. Na tym pięknym szmacie ziemi ośmdziesiąt mil długim, a czterdzieści mil szerokim, mieszka pięć milionów ludzi. Pięć milionów to nie mała liczba, ale są kraje daleko ludniejsze. Belgia jest więcej jak o połowę mniejsza od Galicji a ma także pięć milionów ludności.

(List z Australji.) Jeden pan miał syna, który pojechał w daleką podróż na morze, do piątej części ziemi, co się nazywa Australja. Minęła jesień, nadeszła zima, syn nie wrócił. W wilią Bożego Narodzenia, pan ów, ze swoją żoną i innemi dziećmi zasiadł do wieczerzy. Na kominie płonął ogień, a i tak wszystkim było dość chłodno, bo zima była ostra.

— Co też tam nasz Jan porabia dziś w Australji? mówił ojciec.

— Czy też tam także tak zimno jak u nas? pytało któreś z dzieci.

W kilka miesięcy potem przyszedł list z Australji od Jana, pisany w samo Boże Narodzenie. Stało w tym liście tak: „U nas tu ogromne upały, w izbie wytrzymać nie można od wielkiego gorąca. Aby ten list napisać, uciekam pod cieniste drzewa do ogrodu. Przyjemnie tu, bo kwiaty najśliczniejsze kwitną, i owoców wybornych na drzewach pełno, ale i tu przecie za nadto gorąco, pot wielkiemi kroplami spływa po mojem czole.“

Jakże to być może, że w Australii są takie upały, kiedy u nas zima? Oto ta część ziemi, na której my mieszkamy jest na jednej półkuli,

bo ziemia jest kulą, a Australja na drugiej; pory roku zaś zmieniają się tak, że gdy na jednej półkuli jest lato, to na drugiej jest zima i odwrotnie. Gdy u nas największa zima, w Australji są największe gorąca, a gdy u nas lato i upały, w Australji śnieg pada.

(Pieprz.) Ziarna pieprzu, które w sklepach sprzedają, są to jagody z krzewu, który się wije na innych roślinach, jak dzikie wino albo bluszcz, a rośnie w dalekich krajach zamorskich, na miejscach skalistych. Pieniek tego krzewu jest grubości palca, z każdego kolanka wypuszcza nowe korzonki i niemi czepia się drzew pobliskich albo tyczek, a wyrasta sześć do ośmiu łokci w górę i kwitnie biało. Jagody pieprzu są z początku zielone, potem czerwienieją, a nakoniec stają się całkiem czarne. Z jednego krzewu zbiera się sześć do siedmiu funtów ziarna. Jak kto przyjdzie do sklepu kupić pieprzu, to go się pytają, czy chce czarnego czy białego. Oba te gatunki pochodzą z tego samego krzewu i tylko taka jest między niemi różnica, że jedne jagody zbierają się nim zupełnie dojrzeją i suszą się; zwierzchnia skórka z nich się nie obdziera i ta się na nich marszczy, a te jagody dają pieprz czarny; drugie zaś zbiera się gdy zupełnie dojrzeją i obdziera się je z mięsistej skórki, a z tych jest pieprz biały. Pieprz czarny jest więcej piekący jak biały.

(A to potęga!) Za dawnych czasów byli ludzie ogromnie silni, daleko silniejsi jak teraz. Za króla Jana Sobieskiego wsławił się z nadzwyczajnej siły rycerz jeden, imieniem Wojciech Cieński. Był on i w owej sławnej bitwie pod Wiedniem, a ujrzawszy zmykającego jednego z przedniejszych wodzów tureckich, puścił się za nim w pogoń, schwycił go niespodzianie jedną ręką z tyłu za kołnierz, podniósł w górę jakby małą dziecinę, posadził przed sobą na koniu i uprowadził do niewoli. Król stał w pobliżu, widział wszystko, zdumiał się i zawołał:

— A to potęga!

Słyszeli te słowa wszyscy ci, co byli przy królu, rozpowiedzieli drugim, i odtąd w całym obozie zaczęli wszyscy Cieńskiego nazywać Potęgą. Wieść o tem rozeszła się wkrótce po całej Polsce i niebawem nigdzie inaczej nie nazywano tego sławnego siłacza, tylko Potęgą. On też przybrał sobie to nazwanie za przydomek i podpisywał się odtąd Wojciech Potęga Cieński, a zaprawdę godzien był tego przydomku, kiedy się tak dzielnie popisywał. Dziś nie ma już takich siłaczów, ale też dziś nie wojują już tak jak dawniej. Dziś na wojnie wszystko zależy od sztucznych obrotów, od doskonałości broni, a dawiej szła siła na siłę, chłop mierzył się z chłopem

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.